

II SKIERIKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 4

LUTY

Rok 45/46





W ROCZNICĘ WYZWOLENIA

Dzień 27 stycznia jest dla Bydgoszczy rocznicą wyzwolenia. Szczera radość jest jedynym powszechnie panującym uczuciem. Pamięć o tym dniu przetrwa wśród nas przez długie lata. W tę rocznicę pierwsza nasza myśl i serdeczne uczucie wdzięczności zwraca się do tych, którzy za naszą wolność oddali swe życie.

Złożenie hołdu poległym bohaterom jest pierwszym naszym obowiązkiem.

Drugim z kolei, ale ważniejszym pod względem treści naszym obowiązkiem w rocznicę odzyskania wolności jest dokonanie obrachunku, co każdy z nas, jako wolny obywatel Ojczyzny zrobił w ciągu ubiegłego roku, aby wolność własnego państwa wzmocnić i utrwalić.

Trzecią z kolei, lecz najważniejszą naszą powinnością w każdą taką rocznicę jest jasne uświadomienie sobie i powzięcie postanowienia, do czego każdy z nas, jako wolny człowiek i obywatel swojego własnego państwa zobowiązuje się, aby zaległy dług wdzięczności uregulować i nowe brzemień trudu ochotnie wziąć na swe barki, by w następną już rocznicę mieć pełne zadowolenie wewnętrzne, płynące z poczucia dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego w imię dobra ogólnego.

Kto choć raz w życiu doznał takiego uczucia, ten nie wyrzeknie się go już nigdy, pełniejszego bowiem i bardziej trwałego szczęścia nie zapewni mu żadne inne przeżycie.

Spełnianie takich obowiązków wchodzi w zakres osobistych świadczeń każdego bez wyjątku obywatela na rzecz państwa. Są to obowiązki moralne, których granice wyznacza własne sumienie.

Od tych obowiązków prócz własnego sumienia nikt inny zwolnić nie może. Od sposobu wypełniania ich zależy wartość społeczna jednostki.

Ze świadczeniami osobistymi najściślej wiążą się świadczenia rzeczowe, ustanowione przez prawo państwowe dla każdego obywatela we właściwej postaci.

Każdy obywatel ma wyznaczone, ile i jakich rzeczy ma dostarczyć dla użytku ogólnego, aby wszyscy mogli żyć i pracować.

Jeśli ktoś nie dostarczy czegoś w wyznaczonej ilości, to drugi nie ma prawa sam zwalniać siebie od całkowitego spełnienia swego obowiązku.

Tę sprawę regulować ma prawo jedynie tylko ta władza państwowa, która jest za to odpowiedzialna.

Oto górnik w kopalni ma wyznaczoną ilość węgla dostarczyć kolei. Kolej ma ten węgiel przewieźć do różnych miast i oddać go elektrowniom, gazowniom, fabrykom i różnym instytucjom.

Elektrownia musi dostarczyć wyznaczoną ilość energii elektrycznej do fabryk, urzędów, różnych instytucji i użytku obywateli.

Fabryki mają wyprodukować odpowiednią ilość maszyn rolniczych, narzędzi pracy i różnych materiałów, potrzebnych mieszkańcom wsi i miast.

Ogrodnicy mają dostarczyć wyznaczoną ilość owoców i warzyw, hodowcy bydła — odpowiednią ilość mleka, rybacy — ryb, właściciele pasiek — miodu, rolnicy ziemniaków i zboża, młynarze — mąki, a piekarze — chleba. Nie tylko chłop jest zobowiązany do świadczeń rzeczowych, ale każdy, kto tylko coś posiada.

Świętym obowiązkiem każdego pracownika przy swym warsztacie jest dbałość o to, aby bez najmniejszego uszczerbku dla ogółu było oddane wszystko według ustalonej normy.

Od należytego spełnienia przez wszystkich tego obowiązku zależy nie tylko dalszy rozwój, ale wprost nasza zdolność do samodzielnego życia państwowego bez obcej pomocy, za którą trzeba by było drogo zapłacić.

W rocznicę odzyskania wolności warto się nad tym wszystkim zastanowić głębiej, niż zwykle. Takie jej uczczenie sprawi, że następną będzie jeszcze radośniejsza.

Franciszek Łukasik



BYDGOSZCZ WOLNA

Śnieg leżał zbity na ruchliwej jezdni,
w policzki szczypał idący mróz,
a środkiem ulic przez noce i przez dni
w tłoku pojazdów niepokój rósł.

Gnał wystraszonych wszystkimi drogami
daleki pomruk zwycięskich dział.
Poprzez śnieżyce, wiechrów podmuch, zamieć,
wolności powiew od wschodu wiał.

Wstrząsały murem milezących kamienie
huki wybuchów, opadał tynk.
Wróg w morze gruzów chciał miasto zamienić,
mosty padały do czarnej Brdy.

Zbliżał się w grzmotach, potężniał huragan,
dzwonił szybami, pukał do drzwi.
W wojennym wirze, w ogniu trudnych zmagañ,
żołnierz parł naprzód, nie szcedząc krwi.

Ukryci w schronach, pod bitewnym zgiełkiem,
łykając w górę pnący się proch,
nie chcieli wierzyć, że z białym orzelkiem
przed dom zajechał dudniący czołg.

W dzwoniącej ciszy, w ognia nagłej przerwie,
rozniosła się w mig po domach wieść.
Trysła chorągwi w oknach biel i czerwień,
więziona w sercach zabrzmiała pieśń!

Franciszek Grott

Z ZARANIA DZIEJÓW NASZEGO MIASTA



Okolo roku 1300 rozciągało się pustkowie w dolinie, w której dzisiaj leży miasto Bydgoszcz. Nie ma Starego Rynku, ani żadnych ulic. Na ich miejscu rosną gęste lasy sosnowe, wśród których polyskującą powierzchnią wiję się czarna wstęga rzeki Brdy. W lasach jest dużo dzikich zwierząt. Nie brak żubrów ani bawołów, a wilki są gośćmi codziennie spotykanymi. Ich przeciągle wycia

w długie wieczory zimowe odbijają się ponurym echem o ściany wzgórz, zamykających dolinę. Z zachodu chłodny i wilgotny powiew zwiastuje bliskość bagien i moczarów Okoła.

Na prawym brzegu rzeki obok dzisiejszego Placu Kościeleckich wznosił się potężny wał obronny grodu bydgoskiego. Ponad zębatym ostrokołem sterczały tu i tam szczyty drewnianych budynków, zajętych przez załogę. Opodal, między dzisiejszym kościołem Pobernardyńskim a Małymi Bartodziejami, rozsiadły się niskie chaty niewielkiej osady, zwanej Babiawią, zamieszkałą głównie przez chłopów i rzemieślników. Na miejscu dzisiejszej szkoły im. ks. Piramowicza stał drewniany kościółek parafialny pod wezwaniem św. Idziego.

W jednej z chat Wojciech Tymotka, trochę bartnik, trochę cieśla, leniwie dźwignął się z twardego legowiska. Odgarnia kosmyki długich włosów, nakrywających mu oczy, ścisną mocniej gruby samodział i opasuje się skórzanym rzemieniem. Wzrok jego zatrzymuje się na czarnych od dymu ścianach ze skapo ociosanych bierwion sosnowych. Na ziemi stoi kilka naczyn drewnianych, a we wgłębieniu kupa czarnych węgielków świadczy o miejscu ogniska. Wkrótce w chacie robi się ruch. Wstaje żona i dzieci. Matka, podając rosłej dziewczynie drewniany ceber, mówi:

— Nasei, przynieś wody z rzeki.

Sama rozpala ogień, by uwarzyć gęstej strawy z żynnego śrutu. Potem zwraca się do męża z zapytaniem:

— Czy pamiętasz, Wojciech, że trzeba dziś panu na grodzie złożyć daninę?

— Pamiętam.

Po posiłku Tymotka przegląda swoje zapasy miodu. Pieści wzrokiem stojące rzędem w komorze naczynia ze złotawym płynem. Przypomina sobie, jak to go latem zbierał w bartodziejskich lasach. Dzikie pszczoły jakoś upodobały sobie dziuple starych sosen i do nich hojniej, niż gdziekolwiek indziej znosiły swój plon. Zapuszczał się Tymotka w poszukiwaniu miodu w dalekie knieje. Raz, wracając z łupem do domu, natknął się na dużego niedźwiedzia. Popatrzeni na siebie, potem zwierz, widać syty, zawrócił i zaszył się w gąszczu lesnym.

Po długiej medytacji i drapaniu się w głowę Wojciech wybrał dwa równe naczynia i udał się w drogę do grodu.

— Cóż się tam dzieje? — myśli, widząc w oddali gęste zbiorowisko ludzkie. Targ! Poznał obcych kupców w długich, cudzoziemskich strojach. Przybyli z daleka. Pod zamkiem przeprowadzają się na północny brzeg Brdy i pociągają ku dalekiemu morzu. Wyłożyli swoje towary i zachęcają do kupowania. Błyszczą pierścienie, iglice, noże, broń; przyciągają wzrok różnobarwne chusty i sukna. Mieszkańcy osady w zamian za kupiony towar znoszą peki skór, bryły wosku i kawałki bursztynu.

Tymotka chwilę przypatruje się targowi. Potem znika w bramie grodowej, by złożyć daninę panu, który razem z załogą broni bezpieczeństwa mieszkańców podgrodzia.

Joanna Markowska



Pierwszy uniwersytet na Pomorzu

Dzień 5 stycznia 1946 roku został zapisany złotymi gloskami w dziejach prastarego Torunia Do złotej księgi wielkich pamiątek narodowych wpisało ten dzień również całe Pomorze. Księgi chwały narodu polskiego wzbogaciły się o jedną wiekopomną datę. Odwieczna krzywda jednej z najważniejszych polaci Piastowego dziedzictwa została naprawiona. Setki lat mieszkańcy tej ziemi czekali na tę chwilę daremnie. Dopiero teraz ziszcili się odwieczne marzenia pomorskiego ludu. Zrealizował je Rząd Polski Demokratycznej.

W Toruniu został otwarty pierwszy na ziemi pomorskiej uniwersytet. Nadano mu imię największego syna tego grodu, a równocześnie imię najslawniejszego Polaka. Uniwersytet imienia Mikołaja Kopernika w Toruniu jest najmłodszą, a już dwudziestą siódmą z rzędu wyższą uczelnią w Polsce.

Do tej pory i synowie ziemi pomorskiej, pragnący zdobyć wyższe wykształcenie, zmuszeni byli wyjeżdżać do innych części kraju, co było połączone z licznymi trudnościami. Setki wartościowej młodzieży nie mogły pokonać tych trudności. Młodzieży tej działa się krzywda, bo nie miała możliwości zdobywania najwyższych stopni naukowych. Była to równocześnie niepowetowana strata dla całego narodu. Dziś to wszystko należy już do przeszłości. Dziś wszyscy pragnący wiedzy mają możliwość zdobywania jej bez żadnych przeszkód i większych trudności. Przeszło półtora tysiąca pomorskiej młodzieży, a wśród niej i wielu starszych obywateli wzbogaca skarbami wiedzy swe umysły, by lepiej móc służyć Ojczyźnie. Pod opiekuńczym duchem największego polskiego geniusza narodowego młode pokolenia Pomorzian od tej pory mają możliwość na równi z innymi brań udziału w wyścigu twórczej pracy nad podniesieniem poziomu ojezycznej kultury. Przewodząc im będzie w tej pracy zespół kilkudziesięciu znakomitych profesorów. Duch wielkiego patrona i nieprzemijająca sława jego imienia — to niezawodna gwarancja świetnej przyszłości najmłodszej polskiej akademii.

Reszty dokona zahartowana w walkach o polskość swej ziemi wdzięczna młodzież pomorska. Ta dzisiejsza młodzież akademicka, zapelniająca sale uniwersyteckie, to wczorajsza młodzież naszych szkół średnich, to znana nam z imienia i nazwiska przedwojenna dziatwa szkół powszechnych, to starsi bracia i siostry dzisiejszych czytelników „Iskierki“. Już tylko za lat pięć, czy sześć podwoje uniwersyteckie otworzą się i przed nową generacją studencką, przed dzisiejszymi, powojennymi powszechniakami. Dzisiejsi szóstacy są już na połowie swej drogi do bram uniwersyteckich, a klasa siódma o rok drogi za połową. Białych czapek akademickich przybywa coraz więcej na ulicach miasta. Niebawem zjawiają się one i w osiedlach wiejskich.

Niedługo już ozdobią one najmądrzejsze główki dzisiejszych powszechniaków, wytrwale zmierzających śladami swych starszych siostr i braci wytkniętą drogą Mikołaja Kopernika w przyszłość jaśniejszą i szczęśliwszą.

Franciszek Łukasik

Założenie miasta Bydgoszczy



*Nadanie przywileju lokacyjnego
przez Kazimierza Wielkiego*



Dzieje się to 19 kwietnia 1346 roku na zamku w Brześciu Kujawskim. W jednej z komnat siedzi na podwyższeniu król Kazimierz Wielki w otoczeniu dygnitarzy państwa. Widać wśród nich arcybiskupa gnieźnieńskiego, wojewodę kujawskiego, kasztelana brzeskiego i wielu innych. Podkanclerzy czyta ułożony za dyktandem królewskim przywilej lokacyjny, rozpoczynający się od słów: — W imię Pana! Amen! ...My, Kazimierz, z Bożej łaski król Polski, pan i dziedzic ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, pomorskiej oddajemy Janowi Kiesselhutowi i Konradowi, jego towarzyszowi... pustą równinę, położoną opodal naszego zamku obronnego Bydgoszczy, aby tu założyli miasto...

Za założenie — głosi dalej przywilej — oddajemy wymienionym już Janowi i jego towarzyszowi Konradowi wójtostwo... Z wszystkich dochodów sądowych wójtostwa $\frac{2}{3}$ mają nam przyspaść, $\frac{1}{3}$ mogą wójtowie lub ich następcy zatrzymać dla siebie. Z czynszu, który wymienieni wójtowie w mieście zbiorą od składów sukna, kramów handlarzy, ław chlebowych, mięsnych, od szweców i wszystkich innych, trudniących się handlem... $\frac{1}{3}$ przypadnie nam, $\frac{1}{3}$ miastu, $\frac{1}{3}$ wójtom...

Podkanclerzy czytając, wymienia dalsze przywileje, nadane miastu. Zyskuje ono prawo bicia monety i budowania młynów oraz zostaje wyjęte spod władzy urzędników królewskich, a ma się rządzić tylko własnym swoim prawem. „Lokatorzy“ otrzymują na własność majątek Bielice. Na każde zawołanie króla muszą się stawić na wojnę, uzbrojeni w tarczę, helm i pancerz.

Po skończonym czytaniu stojący opodal Jan Kiesselhut i Konrad zbliżają się do stopni podwyższenia, na którym siedzi król i z rąk jego przejmują obszerny pergamin z ciężką królewską pieczęcią na jedwabnych sznurach.

Wkrótce potem w nowozałożonym mieście zaroilo się od osadników. Zaczęto na moczarach sypać groble i budować mosty. Wykarczowano las i usunięto pnie, gałęzie i chrust. Wytoczono rynek czworokątny oraz ulice, rozchodzące się po dwie z każdego rogu. Przy rynku i ulicach mieszczanie zaczęli wznosić drewniane domy, później murowane. W celach obronnych usypano wał ziemny, który później zastąpiono murem, biegnącym od zamku wzdłuż ulicy Pod Blankami do Mennicy. Z północy obronę naturalną stanowiła rzeka Brda.

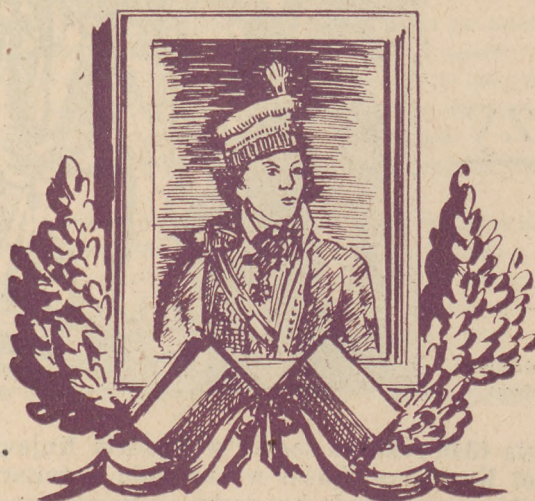
Miasto wkrótce zaludniło się i doszło do rozkwitu dzięki handlowi i splawowi, który odbywał się po Brdzie do Wisły i stamtąd do Gdańska.

Joanna Markowska



Pamiętne rocznice

1746



1946

Tadzik z ojcem, który dopiero kilka dni temu wrócił do kraju, poszli na Wzgórze Dąbrowskiego. Oglądali emmentarz bohaterów, patrzyli na ośnieżone dachy kamienic bydgoskich i mówili sobie, jak to było rok temu, kiedy Bydgoszcz została wyzwolona z okupacji niemieckiej. Tadzik opowiadał, jak to Niemcy wyrzucili ich z mieszkania, jak chwycił wówczas portret Kościuszki ze ściany, ukrył go szybkim ruchem pod płaszczem, by tylko uratować ten tak drogi obraz i nie dopuścić do zbezczeszczenia go przez Niemców. Później patrzył na obraz Naczelnika, jak w świętość i szeptem powtarzał:

— Twego miecza nam potrzeba, by ojczyznę oswobodzić.

Nie wiedział wówczas, że te słowa, które brzmiały jak modlitwa, już się wcieliły w czyn, że na wschodzie pierwsza polska dywizja, która przybrała imię Kościuszki, już przygotowywała się do walki z najeźdźcą.

Dnia 4 lutego mija dwieście lat, jak urodził się Tadeusz Kościuszko. Dla Tadzika jest to bardzo droga rocznica. Cieszy go, że prawie się zbiegła z rocznicą oswobodzenia Bydgoszczy.

A teraz — mówi ojciec — ja ci powiem, mój synu, co twój patron, a zarazem patron twojej szkoły zrobił dla całej Bydgoszczy:

— Pierwszy raz weszli Niemcy do Bydgoszczy po I-rozbiorze Polski. Gdy w roku 1794 Kościuszko stanął na czele powstania i odniósł zwycięstwa nad Moskalami pod Racławicami i nad Prusakami pod Szczekocinami, jednemu ze swoich generałów, Henrykowi Dąbrowskiemu, dał rozkaz, by wkroczył do Wielkopolski i wypędził stąd Niemców.

Na rozkaz Naczelnika Dąbrowski ruszył wprost na Bydgoszcz i z tego oto miejsca rozpoczął szturm na miasto. Po krótkich, ale ciężkich walkach miasto zostało zdobyte, a Prusaków ścigano w stronę Fordonu. Wojska polskie wzięły do niewoli dwóch pułkowników i kilkuset żołnierzy niemieckich. Tymczasem na ulicy Mostowej leżał raniony postrzałem armatnim wódz niemiecki, który przedtem pładrował domy polskie i znęcał się nad Polakami. Ale Dąbrowski nie był mściwy, kazał ranionego zanieść do pobliskiego domu i opatrzyć mu rany. Postąpił, jak rycerz.

Cieszyła się wówczas Bydgoszcz, że w murach swoich witać może polskich żołnierzy, którzy przynieśli jej wolność.

A Kościuszko na wiadomość o oswobodzeniu miasta wysłał Dąbrowskiemu list następującej treści:

„Cieszę się, Generale, ze serca z zwycięstwa Twego, a imieniem Narodu winszuję Ci go.

Nim Ojczyzna okaże Ci za to wdzięczność swoją, przyjmij ode mnie dziś karabelę złotą.“

Tak to 150 lat temu Bydgoszcz zawdzięczała swoje wyzwolenie Kościuszcze, który tak ukochał chłopca, że włożył na siebie siermięgę krakowską. Tak samo dziś zawdzięcza swoje wyzwolenie tym, którzy z imieniem Kościuszki ruszyli do boju, by przynieść krajowi wolność, a chłopcu ziemię, jak tego ongiś sobie życzył Kościuszko.

L. B.



ZAWODY

— Już idziemy — rzekł ojciec, biorąc do ręki węzelek. — Idziemy. Pożegnaj się z matką.

Chłopcu pociemniało w oczach. Gdy oprzytomniał, był daleko od domu. Więc oglądał się jeszcze, by stwierdzić, czy dojrzy stąd szczyt dachu, albo choćby czubek komina. Lecz już nie dojrzał. Gdy dochodzili do lasu, ojciec zauważył:

— Kulejesz, czy co?

Stefan zaprzeczył żywo.

— Bo idziesz jakby na śmierć.

Tymczasem szli do miasta, gdzie Stefan miał teraz uczęszczać do szkoły. I właśnie z tym była cała tragedia. Bo chłopak chciał się uczyć, ale do miasta iść nie pragnął. Zdawało się mu, że poza swą wsią rodzinną żyć nie można.

— Gdy pójdziesz kiedy w niedzielę do domu, to idąc przez ten las, zmówisz sobie pacierz o dobre pojęcie w nauce.

Stefek przytakuje tylko. Owszem, zmówiłby tych pacierzy znacznie więcej, gdyby mu nie kazali iść do jakiegoś tam miasta. Co teraz poczyna jego gołębie? Albo ten nowy młynek nad strumykiem... O, w tej chwili młynek się obraca, trzaska kołem o wodę, piany się rozpryskują, a Stefek ani tego nie widzi, ani nie słyszy.

Chłopiec podniósł głowę dopiero w mieście, gdy poczuł na tej głowie nową czapkę. Takiej czapki nigdy w życiu nie miał. Toteż podniósł głowę trochę za wysoko. I od razu nabrał przeświadczenia, że nie on miasto, lecz miasto jego powinno podziwiać. Wiadomo przecież, kto taką czapkę nosi...

Lecz owa wielkość nie trwała długo. W szkole poszła czapka na hak, a Stefek ruszył z gołą głową do klasy. Od razu zmalal i poczuł się obco pośród tylu nieznanego kolegów. Nie wiedział, co z sobą począć. Nikogo znajomego, nikogo z jego wsi. Wszysey obcy i dalecy. Nie miałby nic przeciw temu, gdyby się mógł zapaść pod podłogę i zniknąć.

Podłoga była jednak twarda i nic nie wskazywało, aby się miała kiedy zapaść. Czy była równa, to już inna sprawa. Bo Stefek, idąc do jakiejś ławki, o mało się nie wywrócił. I wtedy właśnie usłyszał ten najmilszy w tej chwili głos:

— Usiądź koło mnie!

Usiadł. A serce zabiło mu uczuciem ogromnej wdzięczności dla tego nieznanego jeszcze kolegi. Poczul, że dla niego gotów byłby uczynić wszystko, czego by tylko ów od niego zażądał. Ale spojrzeć na niego nie śmiał, choć tak bardzo tego pragnął.

Wkrótce i ta zapora nieśmiałości została usunięta. Stało się to całkiem prosto i zwyczajnie. Romek zapytał się Stefka o gołębie. Bo on mieszka na przedmieściu i chowa sobie śliczną parkę perłowych. Ale chciałby mieć jeszcze jednego i koniecznie listowego.

Stefek od razu nabrał śmiałości do kolegi i całej klasy. Bo on ma listowego gołębia i chętnie sprzeda Romkowi. Nie sprzeda, ale podaruje. Na początek nowej przyjaźni.

I tak z każdym dniem czuje się Stefan coraz lepiej. Już zna się z wszystkimi. Jest mu tu całkiem dobrze. Tak dobrze, że nawet nie myślał. A wszystko przez to, że jest tu Romek.

I byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie Wiktor. Jest to jedyny kolega, wobec którego czuje pewną oziębłość. Może dlatego, że Wiktor jest zawsze elegancko ubrany, że trzyma się na uboczu, że jest jakby dumny, nieprzystępny i oziębły. Mimo to czuje w nim pewną wielkość. Jaka szkoda, że Wiktor jest taki!

Razu pewnego w czasie przerwy doszło między nimi do sporu, który zakończył się bardzo nie po koleżeńsku. Po prostu Stefan publicznie nazwał Wiktora dziadem. Ten oddał mu po swojemu, lecz też dobitnie. Sprawa oparła się o sąd koleżeński i nauczyciela. Wychowawca, zbadawszy rzecz zganil Stefka i radził mu postąpić teraz tak, jak honor nakazuje. Lecz Stefkowi honor niczego nie nakazywał.

Od tego zajścia minęło szereg tygodni. Przyszła zima. W klasie mówiło się najczęściej o nartach, łyżwach, saneczkach. Zawiazało się nawet Koło Łyżwiarckie, którego czynnym członkiem był Stefan. Tak więc był już zarząd Koła, byli członkowie, były łyżwy, zdobyte z niemalym trudem. brakowało tylko drobnostki — lodu. Wreszcie po świętach chwycił silniejszy mróz i szklivem pokrył ulice. W klasie ożywienie. Ktoś wpadł na myśl, by urządzić zawody łyżwiarckie. Powstaje ogólny krzyk.

— Zawody! Zawody!

Wszyscy się godzą. Teraz kłopot, gdzie urządzić te zawody. Na rzece powierzchnia nierówna, miejscami sterczą kamienie. Kto podejmie się znaleźć dobre miejsce?

Wówczas Wiktor oznajmia uroczyście, że dobry teren do ślizgawki już ma na stawie w swoim ogrodzie.

Okrzyki radości rozsadzają ściany. Ten i ów przypomina sobie, że istotnie w ogrodzie Wiktora jest duży staw. Lepszego miejsca na zawody wybrać nie sposób.

— Brawo, Wiktor!

— A tobie co? — Koledzy zwracają się do Stefana. — Dlaczego masz taką minę, jakby ci kij stanął w gardle?

— Bo... bo łyżwy mi się zepsuły.

— Co takiego? Koledzy nie mogą się zgodzić, by Stefan nie brał udziału w zawodach. Wszak on może zająć pierwsze miejsce. Bez niego nie ma zabawy. A łyżwy? Może ktoś pożyczy?

Lecz okazuje się, że nikt nie posiada drugiej pary. Więc co robić?

Wtedy podchodzi Wiktor do Stefana i mówi półgłosem:

— Ja ci łyżwy naprawię. Mój brat pracuje u ślusarza, poradzi mi, jak to zrobić. Chodź, idę do ciebie.

Wyszli. Ale zaraz za progiem Stefan staje i z kłopotliwym zawstydzeniem odzywa się do kolegi:

— Wiesz, Wiktor, ja już wiem, co mi honor nakazuje. Przebacz tamto!

— Co będziesz wspominał. Dawno zapomniałem.

— Jeżeli tak, to ci powiem, że moje łyżwy są zupełnie dobre. Nie im nie brakuje.

— Czyli za jednym zamachem wszystko się naprawiło. Brawo!

I w przyjacielskim uścisku trwali dłuższą chwilę. A kiedy Stefan pędził po łyżwy, był tak szczęśliwy, jak nigdy przedtem. I każdemu, kto by zapytał, powiedziałby, że lepszego kolegi nad Wiktora nie ma pod słońcem.

Zawody odbyły się w najlepszym nastroju. Stefek jednak nie zdobył pierwszego miejsca. Lecz mimo to był szczęśliwy, bo czuł, że zdobył coś więcej: najlepszego kolegę i przyjaciela.

Wł. Dunarowski

WESOŁY TANIEC

Tańcowała igła z nitką,
a co krok, to nowy ścieg.
Rach, ciach, rach, ciach, z drogi, bracie,
bo to jest zawrotny bieg!

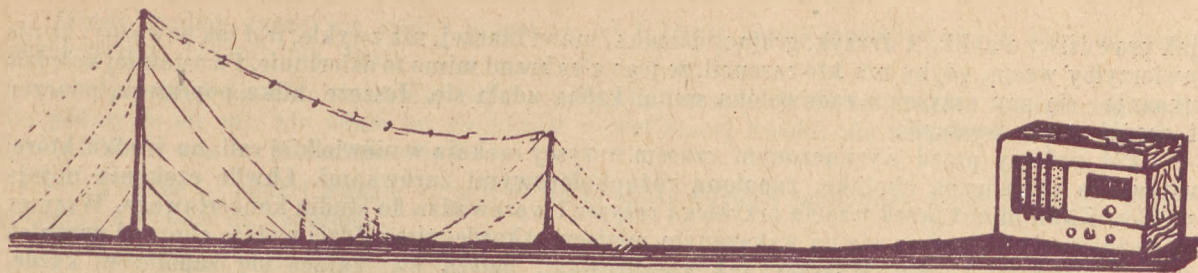
Igła ostre ma pazurki,
jak ukłuje, to do krwi,
pecha ją dziś naparstek gruby,
naprzód raz, i dwa, i trzy.

Tańczy z werwą igieleczka,
to krok naprzód, to krok w tył.
Naprzód nitko, naprzód biała,
w krąg obracaj się co sił!

Tam, gdzie stąpniesz, wszystkich łączysz.
Niechaj nikt nie będzie sam!
To, co ludzie rozdzielili,
igła z nitką łączy w tan.

Rozhulała się niteczka,
igła aż upada z sił,
nitka rwie się, a igielka
dała skok, czub jej się zbil.

Wujeto Lech



W studio radiowym

Zapowiedź występu uczestników przedstawienia jasełkowego w Polskim Radio zelektryzowała całą szkołę. Próby dobiegały końca. Wszystko szło, jak po maśle. Każdy starał się rolę swą jeszcze staranniej opanować. Należący do chóru usiłowali śpiewać czysto i dźwięcznie, by tym, co przy głośnikach słuchać będą tej audycji, naprawdę się zdawało, że to brzmią chóry anielskie. A ci, co naśladować mieli szum lasu i poświsty zrywającego się wiatru czynili to tak udatnie, że słuchający nie będą mogli sobie wyobrazić niczego innego, jak tylko rozpętanie się żywiołu, sprowadzającego w dzikich podskokach, tupotach i chichotach diablika i z dalekich przestrzeni międzygwiazdnych pana Twardowskiego. Najwięcej kłopotu z tym słuchowiskiem miał Zbych, odtwarzający rolę diablika. Rodzice jego nie posiadają radioodbiornika. Pierwszy raz w życiu wystąpić w słuchowisku radiowym i nie dowiedzieć się od dumnych z takiego wyróżnienia najbliższych mu osób, jak to wypadło — nie, to byłby za wielki cios. A trzeba wiedzieć, że Zbych ma wielu przyjaciół. Uczynny, chętny, a przy tym giętki w krzyżu i wesoly, o jak wesoly. Lubią go też wszyscy.

— Nie martw się, Zbychu, rodziców przyprowadzisz do nas — zaprasza Czesiek.

— Do nas przychodzi z pół kopy ciekawskich i dla nich znajdzie się miejsce — zapewnia Zenek — zawsze błady i przejęty odtwarzaną postacią harcerza, który ginie w obronie ukończonego miasta.

Zbych jest szczęśliwy. Wesolo strzela żywymi i ciągle świdrującymi wokół oczyma.

Jerzyk zapowiada: — Oho — moja paczka kolegów będzie słuchała przy megafonie, chłopaki, przy tym grzybku, na Placu Wolności.

Nadszedł dzień próby w studio radiowym. Trudno było wychowawcy w drodze utrzymać porządek. Chłopcy byli rozochoceni i podnieceni. Wymiana zdań była zbyt głośna. I znowu kłopot z tym Zbychem. Uparł się, żeby na bębenu wybijać strzały karabinowe. Bębenek aż się prosi, by na nim zaznaczać takt marszu i to w najludniejszej ulicy śródmieścia.

W obszernym hallu radiowym czeka już niecierpliwie pan reżyser. Czas tu drogi, wszystko obliczone na minuty. Niebawem otwierają się drzwi studia koncertowego. Tu odbędzie się próba, a później występ. Wzdłuż ściany od strony ulicy zwieszają się ciężkie kotary, których zadaniem jest tłumienie głosów. Podczas występu orkiestry rozsuwa się je na boki, by dźwięki muzyki jasno i wyraźnie brzmieć mogły w radioodbiornikach. Pan reżyser udziela wskazówek. Zapoznaje z mikrofonem, do którego za chwilę mają wykonawcy wygłaszać pisane na kartkach wiersze. Zakreśla na dywanie czerwoną linię, której nie wolno przekroczyć. Przypomina o zachowaniu się: nie wolno chrząknąć, zakaszleć, śmiać się, bo to wszystko wylawia mała główka mikrofonu, osadzona na wysokim, stalowym stojaku i przenosi na zewnątrz przez głośniki. Za chwilę znika w kabinie reżyserskiej. Przez wielką szybę, która oddziela kabinę od studia, pokazuje duże napisy: „głośniej“, „ciszej“, a potem daje ręką znaki, które mają oznaczać: „bliżej“, „dalej“. Chłopcy kiwali głowami, że rozumieją. Wtem zabłysło na drzwiach kabiny czerwone światelko. To technik dyżurny, który zajął miejsce przy swoim stole operacyjnym z wbudowanymi naokoło instrumentami kontrolnymi i wzmacniaczami w tak zwanej amplifikatorni, połączył się ze studiem. Widać stąd tylko jego głowę z nałożonymi słuchawkami przez drugą z kolei szybę. To on daje sygnał do rozpoczęcia audycji. To on włącza speakera, który na piętrze zapowiada w swojej małej kabinie, to on reguluje siłę i barwę głosu. To przez aparaty, którymi się zręcznie posługuje, można orzec, czy role są właściwie obsadzone, czy głosy wykonawców są radiofoniczne.

Reżyser daje znak na rozpoczęcie próby. Wszystko odbywa się bez przeszkód. Dzieci przejęte są swoimi rolami. Zachowują się beznagannie. Stoją przed mikrofonem śmiało, wypowiadają gładko i poprawnie swoje wiersze. Od czasu do czasu ukazuje się za szybą kabiny pan reżyser i uśmiecha się. Najwięcej do Zbycha, który nie może ustać na miejscu, kiedy nadchodzi jego kolej i porusza się przed mikrofonem, jak na scenie. Przyczają się i wymachują rękoma, błyska oczyma,

jak prawdziwy diablik. A Jerzyk, grający dziadka, mówi inaczej, niż zwykle, jest tak poważny, że nie uwierzyłby wcale, gdyby mu kto zarzucił, że jego głos brzmi mimo to dziecinnie. Po ostatniej kolędzie ukazują się pan reżyser z zadowoloną miną. Próba udała się. Jeszcze kilka poprawek, pouczeń i zespół może wystąpić.

Pół godziny przed wyznaczonym czasem wszyscy czekają w niewielkiej sali, na środku której ustawiono prześliczną choinkę, zapaloną różnokolorowymi żarówkami. Chwile czekania mijają szybko. Kilka minut przed trzecią przybiega reżyser i wprowadza do studia koncertowego. Wszyscy są podnieceni. Ustawiają się na wskazanym miejscu. Akordeonista Zdziś podaje chórowi początek melodii pierwszej kolędy. Wszyscy, jak zaczarowani, patrzą na mające się zapalić w każdej chwili czerwone światełko. Każdy wie, że oto teraz, przy radioodbiornikach z zapartym tehem siedzą ich najbliżsi, by rozpoznać głosy swoich dzieci. Ale nie ma czasu na namyślanie się, bo oto już słychać głos speakera:

— „Teatr wyobraźni nadaje słuchowisko jasełkowe...“, wymienia tytuł audycji, autora, a potem wykonawców — i serca wszystkich biją gwałtownie. Błysło czerwone światełko. Pan wychowawca podnosi rękę i chórem aniołów audycja się rozpoczęła. Przebiega bez zarzutu do końca. Gdy światełko gaśnie, rozpalone główki dzieci podnoszą się ku górze, by z głośnika usłyszeć zapowiedź o zakończeniu audycji.

Dumni i rozpromienieni wracają chłopcy do domu. Zbych i Jerzyk nie umieją ukryć zadowolenia, gdy jeden z mijających ich kolegów zauważył:

— Patrz — to ci odgrywali w radio.

Dużymi krokami wspinali się na ulicę Podgórną.

— Widzisz to światło na maszcie — wyjaśniał Zbych — to tędy nasze słuchowisko popłynęło w świat na falach eteru.

— Wiem, wiem — studio ze stacją nadawczą połączone jest specjalnym kablem. Stacja ta za pomocą anteny, rozwieszanej między dwoma masztami wysyła audycje Polskiego Radia w świat. Szli szybko, oddychając ciężko. Jasne światło radiostacji mrugało do nich wesoło.

Franciszek Grott



LISIA SPÓŁKA

Opowiadanie na podstawie podań ludowych

Za Niezaradnowem na leśnej polanie zeszły się na naradę dwa lisy: Ruzdzik i Kita. Myny miały poważne, bo i sprawa, którą chciały załatwić, była poważna. Chodziło o to, jak zaradzić złu, które od jakiegoś czasu zaczęło trapić ród lisi. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że z dnia na dzień pogarszały się ich warunki materialne, a z nastaniem zimy życie stało się wprost niemożliwe do zniesienia.

— Coraz trudniej wyżyć — skarżył się Ruzdzik. — Już cały tydzień podkradam się pod zagrody, a kury ani na lekarstwo.

— Oj, prawda, prawda! — westchnął Kita. — Dawniej było w bród wszelakiego drobiu, a dziś kaczki, gęsi — to rzadkość niesłychana.

— A ile to w lasach było zwierzyny — dodał Ruzdzik. Obfitość zajęcy i kuropatw; a teraz często z pustym żołądkiem wracam do nory i głoduję ze swoją rodziną. Więc radź, mój przyjacielu, jak tej biedzie zapobiec.

— Co innego radzić, a co innego nasycić głód — odparł stroskany Kita.

Koniec tej rozmowy podsłuchiwała Ruzdzikowa żona. Była to jejmość niezwykle przebiegła i doświadczona. Wracała właśnie z Niezaradnowa po nieudanych lowach. Od wczoraj nie jadła, więc była rozdrażniona i zła. A kiedy przypomniła sobie, że w norze małe lisięta stare kości gryzą, z furją rozszkoczyła do męża, krzycząc na cały głos:

— Gamoniu jakiś! Niedolega z ciebie i fajtlapa! Zginiesz sam i my przy tobie zmarniejemy! Nie wystarczy mieć ostre pazury i szybkobieżne nogi. Przebiegły i szlachetny ród lisi musi się utrzymać i musi znaleźć sposób na zaradzenie temu złu.

Tak mówiła lisica, a dwa stare lisy pospuszczały nosy ze wstydu. Właśnie na tę chwilę nadeszła żona Kity. Zadumała się, pomyślała, rozważyła wszystko, potem taką dała radę:

— Jesteśmy na złej drodze. Nie tylko, że człowiek nas śeiga, ale i my wzajemnie sobie przeszkadzamy. Zorganizujmy nasze życie tak, jak je ludzie sobie układają.

Wtedy Rudzik zaczął się głośno śmiać. — Co? Ludzi mamy naśladować? A któż od ludzi przebieglejszy, jak nie my, lisy!

— Ja jednak nie dam się zbić z tropu — odparła lisica. — Właśnie wracam z Niezaradnowa. Nie podarzyło się mi. Nie udało mi się ukraść nawet starej kwoki, ale napatrzyłam się dziwów. Czy był kto z was w Niezaradnowie?

— A jakże — odparł Rudzik — pamiętam te chaty kurne i pochylone, drogę błotnistą, potok huczący, karcznię na rozdrożu...

— Tak było za króla Ćwieka, mój drogi, — odparła lisica. Niezaradnowscy ludzie poszli wreszcie po rozum do głowy, zebrali się spolem i wspólnymi siłami, zgodnym wysiłkiem wypędzili ze wsi biedę. Dziś na miejscu karczmy stoi spółdzielnia. Jest to piękny i okazały budynek. Potok, dawniej złośliwy i kapryśny, miełe dziś zboże na mąkę i drzewo rżnie na deski. A wzdłuż szosy stoją domy czyste i widne. Tak, tu nie trzeba lisiego rozumu, aby zrozumieć i pojąć, że takie rzeczy nie robią się same, ani nie mogą być wynikiem pracy jednego tylko człowieka.

Zafrasowały się lisy poważnie nad tymi nowinami. Zadumał się Rudzik, zamyślił się Kita. A żona Kity, jak zwykle, zaczęła się niecierpliwić. Wreszcie Rudzik wystąpił z takim projektem.

— Rzecz jasna, że działając na własną rękę, nie możemy sobie dać rady. I nie dziwnego, bo jeden drugiemu przeszkadza. Więc zróbmy spółkę. Jednego dnia ty połuj, drugiego dnia ja wyjdę, a zdobycy będziemy dzielić między nasze rodziny. Jeżeli ludziom spółka przynosi takie korzyści, to co dopiero nam! Przecież ludzkie rozumy nie mogą się równać do naszych.

Wypadło, że Rudzik zaczął kolejkę. Ruszył weczesnym rankiem pełen otuchy i dobrych chęci. Los mu sprzyjał. Ledwie parę kroków uszedł, natknął się na zajęczka w gnieździe. Bez ceregieleli zjadł go. — We wspólnym interesie muszę głód zaspokoić — mruczał. Nie mogę polować z pustym żołądkiem.

Okolo południa nawinęło się Rudzikowi zblakane prosiątko. Zagryzł je i przez nikogo nieodstrzeżony, ukrył łup w gęstwinie. — Gdy zmrok zapadnie — mówił sobie w duchu — przyślę żonę, aby zabrała ten drobiazg. Prosię za małe do podziału, a dla mojej rodziny wystarczy na dobrą wieczerzę. Zresztą upoluję coś jeszcze.

Ale wieczór już szarzał i nie więcej nie dalo się wymyszkować. Tych kilku marnych ptaszków, które po drodze schrupał, nie warto liczyć. Wraca zatem Rudzik z niczym. Aby wprowadzić w błąd Kitę, jęczy, udając kulawego.

— Cały dzień gonilem śliczne, młode kozłatko — lże wobec kolegi — ale matka kozłęcia tak mnie uraczyła rogami, że ledwie włokę za sobą nogi.

I musiała rodzina Kity położyć się do snu z burezącymi żołądkami, a w norze Rudzika uczto- wano do świtu.

Nazajutrz wybrał się na polowanie Kita. Już był wieczór i Rudzik zdążył wyglodnieć po tłustym prosiaku. Niecierpliwie kręcił się w norze i wypatrywał kolegi. Wreszcie ukazała się postać oczekiwanego spółnika. Leez zamiast ucieszyć się, Rudzik struchlał na jego widok. Bowiem Kita włókl się, stękając i kulejąc jeszcze bardziej, niż on wezoraj.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał przerażony.

— Alboż nie widzisz? — odparł Kita. — Poczęstowali mnie kijem, że ledwie idę. Chciałem porwać to kozłę, któreś ty wezoraj miał zamiar upolować, i już byłem bliski celu, gdy wypadł pastuch i tak mnie poczęstował, że ledwie własne kości pozbierałem.

— Dosyć, dosyć! — przerwał Rudzik. — Ja wycofuję się ze spółki. To dobre dla ludzi, lecz ja nie mam ochoty jadać co drugi dzień.

I w gromadzie lisów wszystko zostało po dawnemu. Głód i obawa o jutro — zatrwały życie co dnia tak młodym, jak starym. Jednak nikt z lisów nie pomyślał więcej o naprawie warunków. Wiadomo bowiem, że tam, gdzie samolubna chytróść panuje, los ogółu jest przesadzony i żadne korzystne zmiany zajść nie mogą.

A tymczasem w pobliskim Niezaradnowie ludzie radzili sobie coraz lepiej. Zjednoczeni dobrą wolą i troską o dobro całej wsi — dokonali wielu pożytecznych rzeczy, których w pojedynkę nigdy by dokonać nie mogli. Piękna szkoła, spółdzielnie, uregulowany potok, tartak, młyn, wybrukowana droga, czyste domy, a ostatnio założona czytelnia z głośnikiem radiowym — wszystko to jest świadectwem ich pracowitości i poświęcenia dla dobra ogółu. A przede wszystkim zrozumienia, że D O B R O O G Ó Ł U jest podstawą szczęścia jednostki.

Czy samolubne lisy nauczą się kiedy tej prawdy od ludzi?

W. D.



Kapryśna zima

Pierwsza połowa obecnej zimy była bardzo kapryśna. Mogliśmy wszyscy obserwować niezwykle częste zmiany, zachodzące po kilka razy w ciągu jednego dnia. Wszystkie ludzkie przewidywania zawiodły, a żadna przepowiednia nie sprawdziła się. Kwiaty wrzosu miały podobno wróżyć okrutnie tęgą zimę, a tymczasem chlupotanie błota w podartych kapturach i ciągle obcieranie zakatarzonych nosów świadczy wymownie, że wrzosi pomyliły się. Pomyliła się również i babcia,

która mówiła, że jak święta Barbara po wodzie, to Boże Narodzenie po lodzie, a tymczasem było po błocie. Mówiąc szczerze, to nikt z nas nie stęsknił się za tęgim mrozem, bo wystarczyło go parę dni, aby nam wszystkim w nieopalonych mieszkaniach porządnie dokuczył. Radzi jesteśmy, że nas czym prędzej pożegnał i życzymy mu, aby nas więcej nie odwiedzał, dopóki nie zaopatrzymy się w większą ilość paliwa.

Takiego zdania jest babcia, a mała Ewunia mówi, że babcia wie wszystko najlepiej, bo nawet mamusia zawsze babei słucha.

Oj, moja pani, to Opatrzność Boska, że tak łagodnie na świecie, — mówi babcia do swej sąsiadki. — Ileż to opału zaoszczędzą ludzie w tych ciężkich czasach? — A ile to roboty, moja pani, mogą zrobić ludzie przy takim łagodnym powietrzu — rzecze sąsiadka — ile to gruzu mogą uprzątnąć, albo zniszczonych domów naprawić?

— Babciu, babciu! ale na co mi te blaszki pod obcasami do łyżew? — skarży się Janek. — Na co mi łyżwy, na co Kazikowi saneczki, a Bolkowi narty? Chyba po błocie nie będziemy jeździli?

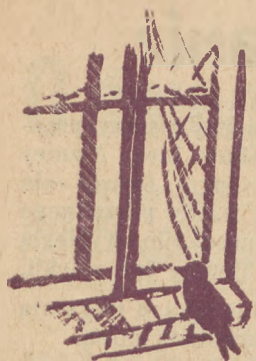
— Ach, wam to tylko zabawki w głowach! Pomarzlibyście i tylko po lodzie ganiali, po śniegu jeździli, a później do domu i... babciu, jeść!

— Ależ, kochana babciu, — mówi Jurek, — to nie tylko my tęsknimy za jasną, czystą bielą śniegu i blaskiem słońca. Niedawno czytałem, że rolnik w zimie też nierad spogląda na gołe zagoni oziminy, to rozmiękle od deszczu, to znów zamarzające na goło. Zboże w takich warunkach wymięka i wymarza. Rolnik najchętniej widziałby lekko zamrzniętą ziemię, pokrytą cienką warstwą śniegu, otulającą ozime zboże przed ciągłymi zmianami. Korzystając ze śniegu chętnie też rolnik w zimie posługuje się saniami zamiast wozu, który w tym czasie może być wyremontowany i zaoszczędzony. Brak śniegu nie daje mu tej możliwości. Dalej czytałem też, babciu, — mówi Jurek — że częsta w ciągu zimy zmiana temperatury i przeplatanie się odwilży z mrozami wywiera szkodliwy wpływ na stan nawierzchni dróg kolowych, które bardzo się psują i wymagają częstej naprawy. Zamarznięcie nawierzchni na dłuższy okres czasu doskonale chroni ją od niszczącego działania kół. Podobnie w ogrodnictwie taka częsta, a przy tym gwałtowna zmiana temperatury jest szkodliwa, bo przez nagłe zamarzanie wilgotnej kory drzew żywe jej tkanki ulegają zniszczeniu.

— Masz rację, mój wnuczku — mówi babcia — jeśli chodzi o nagłość zmian, ale musisz też wiedzieć, że człowiek w walce z przyrodą nauczył się bronić. Na przykład szkodzie w ogrodnictwie częściowo zapobiega się przez owijanie słomą młodych drzewek przed zimą. Ty mi powiedziałeś, co czytałeś w książce, to bardzo ładnie — mówi babcia. — Ja ci powiem z życia, że niszczące działanie nagłych zmian stanu wilgotności i temperatury powietrza w czasie takiej kapryśnej zimy, jak obecna, każdy może zaobserwować na odpadających tynkach domów, rozsypujących się słabo wypalonych ceglach i dachówkach, a także na kruszących się skałach. Chciałam ci tylko powiedzieć jeszcze, — dodaje babcia — że to, co w jednym wypadku jest złym, to w innym może być pożytecznym. Na przykład szkodliwe w poprzednim wypadku działanie rozsadzającej siły zamarzającej wody okazuje się bardzo pożytecznym w spulchnianiu ciężkiej gliniastej gleby, co pomaga rolnikowi w jej uprawie.

Zawsze w ocenie zjawisk kierujemy się tym, czy są one pożyteczne dla ogółu społeczeństwa, a nie tym, czy są mniej lub więcej przyjemne dla poszczególnych jednostek.

Franciszek Łukasik



WĘDRÓWKI WRÓBELKA

Odkąd ptaszki poleciały do ciepłych krajów, wróbelek czuł się bardzo osamotniony. Nie żył z nimi nigdy w zbyt zażyłej przyjaźni, ale ponieważ był wściebki i lubił polecieć to tu, to tam i zbierać płatki przeróżne, brak mu było teraz świergotu ptaszczej gromady. Smutno się zrobiło na świecie i żadnych nowin znikąd zebrać nie było można. A kiedy od wschodu przyjechał dziadzio Mróz, to i wyloty z gniazdka nie były zbyt przyjemne.

Dziadzio Mróz nieraz porządnie szczypał i nie można się było uśmiechnąć do słonka. Wróbelek radził sobie jednak jakoś. Nie zaznał też zbyt wielkiej biedy. U Zosi na okienku zawsze znalazł okruszyny chleba, to resztki kaszy z wczorajszego obiadu, to kawał ziemniaka. A i kurkom na podwórku potrafił czasami ukrasć ziarenko. Nie! Z wyżywieniem nie było kłopotu! Ale tęsknił do towarzyszy.

Siadł więc na korycie konia. Dziobnął mu zgodnie z swoim wróblim zwyczajem drobiazg ze żłobu i zaczął pogawędkę.

— No, i jak ci tam, wuju koniu?

— Hiii! — zachnął się koń, popatrzył na wróbelka spode lba, potem udawał, że go nie widzi i dalej zajadał owies.

— Pytam się, jak ci się powodzi?

— Hiii! — powtórzyła się ta sama lekceważąca odpowiedź konia i gorący oddech z nozdrzy pogłaskał piórka wróbelka.

— Jakoś wujcio koń dziś nie rozmowny!

— Ciężko pracuję i z próżniakami się nie zadaję! — odparł koń wyniosłe.

Wróbelek poleciał i pomyślał o jaskółkach, przepiórkach, bocianach i radosnym świergotcie wszystkich krewniaków, co go zostawili samego. A że nie mógł wytrzymać bez płoteczek, poleciał do pobliskiego lasu, który rozciągał się pod samym miastem.

Spotkał tu zającą.

— Jak się masz, kumie? Co u ciebie słychać?

Zając słuchy wydłużył, nasrożył wąsa, groźnie spojrział, już dał kilka susów do ucieczki, ale wnet stanął, bo — przecież wróbla bać się nie trzeba.

— Cóżes taki przestraszony?

— E, bo chwili spokoju nie mam. Cały świat się na mnie wziął. Myśliwy do mnie strzela, gdy siadę pod miedzą. Charty mnie prześladowają. Życ mi nie dają!

Mówi, a uszy nastawia i nadśluchuje na wszystkie strony. Wtem gałązka sucha spadła z drzewa, a zając porwał nogi za pas i ucieka.

— Ej, zajączku, tchórzem jesteś podszyty! — zawołał gniewnie wróbelek, zły, że nie udało się nawiązać rozmowy.

Ale się wnet pocieszył. Puszysty ogon wiewiórki zamigotał między drzewami.

— Witaj, cłociu wiewiórko! Jak ci się powodzi?

— Świetnie! W jesieni mocno napracowałam się. Naznosiłam orzeszków i dobra wszelakiego. Teraz mam z czego żyć! Cieszę się więc, że słonko dziś trochę silniej przygrzewa, hulam po drzewach — na jednym tańczę mazura, na drugim krakowiaka, na sośnie oberka, na świerku posuwistego poloneza.

— Może razem zatańczymy!

— Nie zadaję się z próżniakami! — odpowiedziała wiewiórka i w podskokach zniknęła za siódmym pnem.

— Nie ma co robić między rodziną leśną! — pomyślał wróbelek i wrócił do miasta.

Siadł na okienku Zosi, dojadł resztki wiecerzy i cicho popłakiwał:

— Ćwir, ćwiir, ćwir! Żle próżniakom jest na świecie!

I. B.

Radosne powitanie



Danusia pamięta dobrze dni, które Bydgoszczy przyniosły wolność. Bała się strasznie wybuchów, kiedy Niemcy przed ucieczką wysadzali lotnisko w powietrze. Drżała cała i trzęsła się razem z domkiem, który nawet porządnego schronu nie posiadał. Kiedy się trochę uspokoiło, wybiegła na ulicę Długą, by się przekonać, czy Niemcy już uciekli.

— Są jeszcze. Chodzą w hełmach i w rękach trzymają pięści pancerne — stwierdziła z niezadowoloną miną.

Aż raz nad ranem gwałtowne huki wstrząsać zaczęły znowu ich domkiem. Szybko zbiegli wszyscy na wpół ubrani po krętych schodach do piwnicy. Rozpoczęła się walka o miasto, o rzekę, nawet o ich dom. Dom, który stał nad samą Brdą i groził co chwilę wywróceniem się. Stary był już bardzo. Ale za to piękny roztaczał się stąd widok na młyny, na mostek, na dawną mennicę. Cóż, kiedy mógł ich wszystkich zagrzebać, gdyby tylko jakiś świszający granat w niego trafił. Dotychczas nieszczęście ich omijało. Od czasu do czasu pękały gdzieś szyby i z brzękiem padały na ośnieżoną ulicę. Tymczasem wybuchy stawały się coraz rzadsze. Rechotały za to karabiny maszynowe.

W pewnym momencie wszystko ucichło. Nagle odezwały się jakieś głosy. Danusia za ojcem ostrożnie wychyliła się zza bramy. Na ulicy stało dużo ludzi. Gdzieś dalej słychać było dudnienie czołgów. A potem wesole okrzyki:

— Niech żyją! Niech żyje wojsko polskie!

Teraz już nikt dłużej nie wytrzymał i wszyscy popędzili na ulicę Długą. Tu pełno było wojska. Żołnierze uśmiechali się. Maszerowali dalej. Danusia pędem wróciła do domu, wyszukała z ukrycia białą-czerwoną chorągiewkę i pobiegła ku maszerującym. Wyciągała rączkę, potrząsała radośnie małym kawałkiem płótna, który w tej chwili był jej droższym ponad wszystko. Jeden z żołnierzy podniósł ją w górę i ucałował w roześmianą buzię.

Danusia zawstydzila się trochę, ale szczęście oglądania polskich, prawdziwych orzełków na czapkach nie pozwoliło jej dłużej o tym pamiętać.

Franciszek Grott

Dobra zima

Hu, ha, dobra zima nie jest zła!
Szybko pędzą sanki z góry,
aż lodowe lecą wióry.
Hu, ha, dobra zima nie jest zła!
A najszybciej jedzie Janek
na torpedzie ze swych sanek
Hu, ha, dobra sanna nie jest zła!

Na bok z drogi, szczury, śledzie,
bo torpeda na was jedzie!
Hu, ha, dobra rada nie jest zła!
Chciał przeskoczyć przez dwa dolki,
ale fiknął trzy koziołki.
Hu, ha, dobra jazda nie jest zła!
Poleż sobie, miły zuchu,
na pierzynie, w miękkim puchu.
Hu, ha, dobra zima nie jest zła!



F. Lukasik

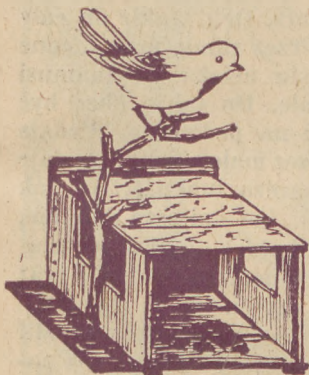
O śniegowym bałwanku



Za budynkiem szkolnym jest teren wolny od zabudowań. Zuchy miały tu dzisiaj zbiórkę całej gromady. Lepiły bałwanki. Każda szóstka pracowała osobno. Dzieci po zbiórce poszły do domu. Cztery bałwanki pozostały same. W nocy światło księżyca ożywiło je. Zaczęły się ruszać. Jeden do drugiego podchodzi. Wzajemnie się oglądają.

— Koleżko, ależ piękny macie kapelusz. Czerwoniutki. Nawet piórko powiewa — mówi bałwanek numer jeden. — Jak wam na imię? — Michaś! Michaś jestem. — A ja Kasia — mówi piskliwym głosem sąsiadka. — Patrzcie, jak mnie ubrały zuchy. Krzyczy spod drzewa bałwanek: — Ruszać się nie mogę. Szalikiem mi szyję okręciły. Dziesięć sukien włożyły. Guziki do samego dołu. W rękę miotła — drapak. Uf — uf — stęka. Ciężko mi. — Grubas! Grubas! — wołają bałwanki. Skaczą koło niego rozbawione. Guziki mu odrywają. Miotlisko w kącie rzuciły i grubaska rozruszały. Już razem z nimi skaczą. Bałwanki idą zwiedzać szkołę. Na dziedzińcu pod murem w kącie stały sanki. — Koleżkowie! — woła bałwanek numer jeden. — Bierzmy sanki. — I już ciągnie. A Kasia siada na nie z Michasiem. — Wio! Wio! krzyczą rozbrykane bałwanki. — A teraz z górki. Każdy z nich w kolejce stoi i zjeżdża. Naraz kule śnieżne zaczęły lecieć. To zapomniany „Grubas” rzucił je. Rozgniewali się koleżkowie. Sanki zostawili. Kule lepią. Lecą ze wszystkich stron na Grubasa. Nosa mu nawet kawałek odtraćili marchewkowego. Jedno oko odpadło mu. Ule! Uch — ulu — ulee. — Placze Grubas. Żal im się zrobiło koleżki. Same płakać zaczęły. Kap! kap! — kapaly lzy. Zawiał ciepły wiatr. Serduszka im ogrzał. Gorąco się zrobiło bałwankom, coraz mniejsze się stawały. Lzy wciąż padały, aż bałwanki się w nich rozplynęły.

Helena Jeszkowa



POMAGAJMY PTASZKOM

Wandzia z Leszkiem wracają ze szkoły przez park. Leszek trzyma karmnik dla ptaszków. Zrobili go dzisiaj w szkole. Jeden umieścili za okienkiem w klasie. Ten zastawi Leszek w parku. Idą z Wandą w śnieg, aby karmnik swój postawić wśród drzew i krzaków. Mróz szczypie ich w uszy i w nosy. Ręce im marzną. Lecz karmnik stoi mocno. Śnieg chrup, chrup, pod nogami skrzypi. A ptaszki, które u nas na zimę zostały, pokuliły się na gałęziach. Nawet nie ćwierkają. Są bardzo głodne. Leszek wyjmie z torby szkolnej chlebek. Kruszy go na deseczce karmnika. Wandzia także chleb swój sypie. Na deseczce okruszynek pełno. Dzieci odchodzą od karmnika. Patrzą z daleka. Dzierlatka z ruchomym czubkiem piór na głowie pierwsza okruszynki zobaczyła.

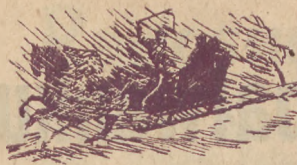
— Jeś! Jeś! Jeś! — radośnie świergocze. Usłyszały wołanie dzierlatki i inne ptaszki. Frr.. — r — r! Cała chmara ptactwa sfrunęła z drzewa na karmnik. Są tu szczygiełki, sikorki, sroki, nawet gile i jemioluszki. Te dwa ostatnie przylatują do nas na zimę z dalekiej północy. Bo tam nie mają co jeść. Najgłośniej świergocze sikorka. — Sit, sit, sit, — nie pechaj się. A dzierlatka na to: — Ja pierwsza tu byłam. Tak szybko okruszynki dziobią i polykają, jakby się bawily, która z nich najwięcej złapie. Cwierkają, podskakują i popychają się wzajemnie. Wanda i Leszek dają im codziennie okruszynki.

W szkole także sypią dzieci ptaszkom chlebek i ziarenka.

Stuk! Stuk! — pukają ptaszki dziobkami do okien dzieci. Radośnie ćwierkają: — Dzięk! Dzięk! Swym przyjaciółom z klasy drugiej dziękują za opiekę.

Helena Jeszkowa

Lutowa



Czytelnia III BG

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
GDAŃSK

PE. 11/6

Stał na mostku groźny luty,
owinięty w szal
i ubrany w długie buty
na wesoly chciał iść bal.

Czekał strojny, wiatrem dmuchał,
bo z nim chciał iść mróz.
Tupał i nadstawiał ucha,
gdy na drodze dudnił wóz.

I niedługo czekał luty
na znajomy stuk.
Konik biały i podkuty
na podmiejski wjeżdżał bruk.

Ciągnął sanie i przed mostkiem
wziął ostatni skręt.
Stanął wreszcie, kiwnął noskiem
skórę białą spienił pęd.

Wskoczył luty, świsał batem,
koń go w zamieć niósł
i mijali stawy, chaty,
aż się śnieżny zrywał kurz.

Wnet zadymki i zawieje
rozpoczęły tan,
a pan luty rad, się śmieje,
ubawiony pędem sań.

Roztańczyła się śnieżycą,
zabieliła świat —
mróz na szyb lodowych licach
piękny wyrysował kwiat.

Franciszek Grott



KOMINIARCZYK

— Ko — o — o — miniarz! Ko — o — o — miniarz!
— rozlega się po całej kamienicy. Na podwórku pokrytym
grubą warstwą śniegu stoi kominiarz. Och! Jakież on cały
czarny. Nawet twarz ma czarną. Przez ramię przerzucone
liny, miotły, drabinkę. Mała Basia ucieka do mamusi
z płaczem. Jerzyk nie boi się weale. On także chce być
kominiarzem. Biegnie z kolegami na podwórko. Podaje
kominiarzowi klucze od strychu. Przez małe okienko dostaje
się kominiarz na dach. Jerzyk bardzo lubi patrzeć, jak
zgrabnie kominiarz po dachu chodzi. Już stoi przy kominie.
Spuszcza do środka kulę na długim bardzo sznurze. Wycią-
ga ją i znowu wrzuca. Przebija nagromadzone sadze. Teraz
bierze szczotkę i komin dokładnie czyści.

— Szuru, buru, szuru. Zmykajcie wszystkie sadze! Niech się ludziom w piecach dobrze pali!
Mamusia Basi nie może uspokoić. Idzie z nią do kuchni. — O, Boże! — ręce załamuje. W po-
wietrzu unosi się czarny pył. Mleko czarne. Kasza czarna. A na meblach można pisać palcem.
Tyle leży sadzy. — Dlaczego wszystko czarne? Czy zła wróżka była tu, mamusiu? — pyta Basia. —
Nie, dziecinko. Kominiarz wymiatał kominy, a nasze drzwiczki od pieca były otwarte. Widocznie
miotłą wypchał sadze do nas.

— Co kłopotu narobili mamusi te czarnidla — szeptobocze Basia.

Spieszy się kominiarz. Czyści komin po kominie. Odnosi klucze. Uśmiecha się do Basi. — No,
maleńka, czy bardzo się mnie boisz? Świecą mu się oczy i białe zęby w uśmiechu. Basia dotyka
ręką jego ubrania. Rączkę ma czarną. Ale już nie płacze. Nawet się uśmiecha do odchodzącego
kominiarza.

— Teraz już nigdy nie będę się go bała. Był u nas i mnie do komina nie zabrał. Poszedł.
Zdaleka tylko słyszeć: — Ko — o — o — miniarz! Ko — o — o — miny wymiatał!

Helena Jeszkowa

Wydawca: Komitet Redakcyjny Oddziału Z. N. P w Bydgoszczy. — Opracowanie graficzne Zygryda Wesółka.

ZAKŁ. GRAF. PAŃSTWOWYCH ZAKŁADÓW WYDAWNICTW SZKOLNYCH W BYDGOSZCZY

E-11058